

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

IMIE PANI

KRYMINAŁ
RETRO

ZŁO czai się wszędzie
Także za murami benedyktyńskiego opactwa

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

IMIE
PANI

Redakcja i korekta

Daniel Lesiewicz

Projekt okładki

Kamil Pietruczynik

www.kamilpietruczynik.pl

Na okładce (s. 3) wykorzystano pocztówkę
pochodzącą ze zbiorów Krystiana Michalika

Skład i łamanie

Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2017

Copyright © by Manufaktura Tekstów 2017

www.manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora

www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze

Nowa Sól 2017

ISBN 978-83-945880-8-3

Druk i oprawa

TOTEM - Inowrocław

Dedykuję:
Lilianie Jawor
Annie Kuniewskiej
Barbarze Dydak
Krystynie Wrzos

*Ważniejsze jest nie zwycięstwo,
lecz właściwe wykorzystanie zwycięstwa.*

Ajschylos

Prolog

Wtorek 18 grudnia 1934

Gustav Dewart przytknął dłonie do ust i chuchnął w nie kilka razy, próbując w ten sposób choć nieco się ogrzać. Miał wrażenie, że mróz dotarł już do szpiku kości i lada chwila stawy zastygną niczym zasychający klej.

– Zupełnie, jak wtedy pod Verdun – szepnął sam do siebie.

Luty 1916 roku zmierzał ku końcowi, a on razem z towarzyszami broni próbował wydostać się z okrążenia, patrząc, jak koledzy giną jeden po drugim od kul francuskich żołnierzy. To, że udało mu się wówczas uciec przed gradem pocisków, a później umknąć gąsienicom czołgów angielskich, było niemożliwością, istnym cudem, jakiego dostąpił, będąc w samym środku piekła. Bo jak można było uznać inaczej, skoro przeżył, mimo że tygodniami doskwierał mu potworny głód, niemalże wciąż był przemoczony i tak bardzo zmarznięty, że szczął zębami nawet we śnie?

Otrząsnął się nerwowo, próbując uwolnić od myśli, które od lat go dręczyły, często budząc w środku nocy. Tamta gehenna już nie wróci – rzucił w myślach, zabijając dłonie. Warunki nie były komfortowe, ale nawet przejmujące zimno nie mogło mu przeszkodzić w podziwianiu największej świątyni, jaką widział w całym swym niespełna czterdziestoletnim życiu.

Kościół klasztorny w Grüssau¹ był świątynią halową. Nawa główna miała osiemdziesiąt metrów długości, dwadzieścia dziewięć szerokości – a z transeptem aż czterdzieści sześć! – i dwadzieścia pięć wysokości. Dodawszy do tego mauzoleum Piastów Świdnicko-Jaworskich oraz kaplicę św. Marii Magdaleny znajdujące się za prezbiterium, wychodziło ponad sto osiemnaście metrów protestanckich długości, a licząc miarą katolicką o dwa metry więcej. Bez względu na to, którego miernika się używało, ogrom barokowej świątyni robił wrażenie na każdym, kto znalazł się w jej wnętrzu.

Zresztą, nie trzeba było wchodzić do środka, aby docenić talent budowniczych. Już z okolicznych wzgórz spojrzenia przyciągały dwie strzeliste wieże – każda mająca siedemdziesiąt dwa metry katolickie wysokości. Kiedy Dewart pierwszy raz przekroczył bramę opactwa i stanął przed nimi, odniósł wrażenie, iż lada chwila oderwą się od ziemi – mimo całego swego ciężaru – i poszybują ku niebu, dotykając chmur. Z wielkim trudem trzeba by szukać pielgrzyma, pątnika czy choćby przypadkowego wędrowca, który nie upadłby na kolana przed tym monumentalnym pomnikiem ludzkiej wiary.

Co innego Dewart, który sam przed sobą udawał, że kościół klasztorny nie robi już na nim wrażenia – choć wiedział też doskonale, że czas, jaki zdążył spędzić w Grüssau, to mało na dogłębne poznanie wnętrza bodaj najbardziej okazałej świątyni barokowej na całym Śląsku. Wystarczyło wspomnieć o wielkich freskach autorstwa Jerzego Wilhelma Józefa Neunhertza

¹ Obecnie Krzeszów koło Kamiennej Góry. Pełny indeks nazw topograficznych znajduje się na końcu książki.

zdobiących sklepienie głównej nawy od samego wejścia aż do prezbiterium. Każda z sześciu kwater – składająca się z kolei z pięciu scen – ilustrowała inny przymiot Boskiej natury według proroctwa Izajasza. Był więc Admirabilis – Przedziwny, Consiliarius – Doradca, Deus – Bóg, Fortis – Mocny, Pater Futuri Saeculi – Ojciec Przyszłego Wieku oraz Princeps Pacis – Książę Pokoju. Z kolei malowidła nad emporami ukazywały sceny ze Starego Testamentu.

Męczyzna wbił wzrok we fresk zdobiący iluzjonistyczną kopułę – znajdującą się na przecięciu nawy głównej i transeptu – ukazujący powitanie Maryi w niebie. Spojrzał na mdlejącą Matkę Chrystusa, którą otaczało pięćdziesięciu świętych – większość z nich pochodziła z zakonu cystersów, założycieli opactwa w Grüssau, którzy do 1810 roku sprawowali nad nim pieczę – i nagle poczuł wielki smutek. Rozejrzał się nerwowo dookoła, szukając wzrokiem innych ludzi, dopiero po chwili przypomniał sobie, że był jedynym wiernym, którego wpuszczono na emporę mieszczącą pod sobą kaplicę loretańską. Żeby się tutaj dostać, musiał najpierw do niej wejść i przecisnąć się przez wąskie przejście ukryte za ołtarzem, by następnie ciasnymi schodami wejść na górę. Do tej pory nie mógł się pozbyć uczucia klaustrofobii, wszystko przez – jak podejrzewał – ponury wystrój kaplicy, której ciemności rozświetlały płomienie jedynie kilku świeczek.

Ile dałby teraz za to, by znaleźć się w którejkolwiek ławce nawy głównej, wśród ludzi! Co prawda miał ich niemal na wyciągnięcie ręki – z miejsca, w którym się znajdował, widział ciżbę wiernych tłoczących się w ocze-

kiwaniu na dzwonek oznaczający rozpoczęcie mszy – ale jednocześnie byli tak daleko. I pomyśleć, że znalazł się tutaj właściwie na własne życzenie! Niby żartem poskarżył się przeorowi na ciasnotę i duchotę panującą w ławkach, to wystarczyło jednak, aby zaproszono go tutaj, gdzie mógł się czuć jak w prywatnej kaplicy.

Doskwierała mu samotność, ale była i dobra strona takiego stanu rzeczy: mógł wreszcie odetchnąć pełną pierś, a jedyne zapachy, jakie do niego dolatywały, to woń kadzidła, nie zaś czosnku i fetoru przeпоconych ciał niemytych od długich tygodni. Ucieszył się na myśl, że jego nowe futro nie będzie już lepiło się od brudu, po czym bezwiednie dotknął dłonią głowy – chcąc ułożyć niesforne włosy – i syknął, uraziwszy miejsce, w które uderzył się podczas wchodzenia po schodach. Wystarczyła chwila, gdy zapatrzył się na wielki zamek strzegący zamaskowanego wejścia do kaplicy i zapomniał, że w tym kościele na wszystko trzeba uważać, dosłownie i w przenośni, jako że miał w sobie tyle złudzeń optycznych i ukrytych znaczeń, że życia by chyba trzeba, aby odnaleźć klucz do wszystkich, zbadać je dokładnie i wydedukować, jaki cel ich zastosowania przyświecał wykonawcom.

Wtem kątem oka zarejestrował ruch na dole. Wyteżył wzrok, dostrzegł starowinkę wpychającą się do ławki, do której nie dałoby się już wsadzić szpilki. Kobieta nie dawała za wygraną, parła dalej naprzód, nie jakby miała na karku siódmy krzyżyk, ale była co najmniej pomocnikiem kowala.

– Czego to ludzie nie zrobią, żeby tylko być bliżej klechy – westchnął i natychmiast obrócił się nerwowo,

odniósłszy wrażenie, że ktoś czai się za plecami. Odechnął z ulgą, to było tylko złudzenie. Nie zmieniało to faktu, iż powinien trzymać język za zębami. To, że był gościem samego opata, nie dawało mu przecież prawa do tego, aby obrażać spragnionych modlitwy wier-nych.

A tych kościoł klasztorny zgromadził tego wieczo-
ra setki, jeśli nie tysiące. Przez krótką chwilę Dewart próbował nawet oszacować ich liczbę, ale szybko dał za wygraną. Ciżba ludzi była tak gęsto zbita, że nawet zawodowe doświadczenie przegrywało z mozołem za-
dania.

Że też zapomniałem założyć kalesony – syknął, czując rosnący gniew wywołany coraz większym poczuciem zimna. Złość była tym większa, że sam do siebie żywił pretensje: nie potrafił bowiem pomyśleć najpierw o so-
bie i, chcąc zadowolić opata, zdecydował się na udział we mszy, teraz płacąc za to znudzeniem mieszającym się z irytacją.

Najchętniej zrejterowałby, szkopał w tym, że uciecz-
ka została od razu zauważona, a wiadomość o niej niechybnie dotarłaby do zakonników. Żeby więc za-
bić czas, mężczyzna zaczął się przypatrywać okazałym
stallom wykonanym przez znanego czeskiego rzeźbia-
rza Ferdynanda Maksymiliana Brokoffa i jego ucznia
Antonina Dorasila. Stały na skrzyżowaniu nawy głów-
nej z transeptem i były podzielone na cztery części,
w każdej z nich znajdowała się grupa dwunastu postaci
– apostołów, wyznawców, osób ze Starego Testamentu
i męczenników – otoczona adorującymi ich aniołami.
Bramy wejściowej po prawej stronie niejako pilnował

święty Bernard, po lewej święta Jadwiga Śląska. Całość była egzemplifikacją hymnu „Te Deum laudamus”.

Na widok benedyktynów zajmujących miejsca w tym istnym dziele sztuki Dewart się ożywił. Spojrzał na zegarek, do rozpoczęcia mszy zostało już tylko kilka minut. Jeszcze szybciej zabiło mu serce, gdy na balkonie po przeciwnej stronie transeptu – w części połączonej bezpośrednio z klasztorem – z hukiem otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich postać w czarnym habicie. Mnich poruszał się tak szybko, że podmuch powietrza zrzucił mu kaptur z głowy. Zakonnik podszedł do jednego z braci siedzących w ławce, nachylił się ku niemu i szepnął coś do ucha. Nawet z tej odległości widać było zaskoczenie malujące się na twarzy tego drugiego.

Dopiero teraz Dewart zdał sobie sprawę, że w kościele klasztorным zapanowała absolutna cisza, nieprzerywana nawet klepaniem zdrowasiek przez okutane chustami baby, jakby wszystkie umówiły się przed wejściem do świątyni, że w tej samej chwili skończą modlitwę. Zanim zdążył skierować ciekawskie spojrzenie na dół – w stronę ławek – zgasły wszystkie światła oprócz jednego, skierowanego na ołtarz główny.

Rozdział 1

18 grudnia 1622

Brat Alberyk odłożył dłuto na blat wielkiego dębowego stołu okrytego szarym suknem, zabezpieczonego w ten sposób przed zabrudzeniem. Następnie otarł dło-

² „Ciebie Boga wysławiamy”.

nią zroszone czoło. Spojrzał na palce, lepiły się od kurzu. Zerknął na rękaw habitu i zasmucił się, zdając sobie sprawę, że wkrótce czeka go pranie. Na białym materiale wyraźnie było widać zabrudzenia. Dobrze chociaż, że praca fizyczna pomagała się rozgrzać, w pomieszczeniu bowiem panował przejmujący ziąb i nawet promienie słońca wdzierające się od dwóch kwadransów do wewnątrz nie były w stanie tego zmienić.

Alberyk daleki był jednak od narzekania, czy to na opata Adama Wolfganga, który podjął decyzję o remoncie zakrystii kościoła klasztornego akurat o tej porze roku, czy na wojenną zawieruchę, która wyгнаła ze wsi większość chłopów, przez co niemożliwym było skorzystanie z ich usług.

Mnich sięgnął po dłuto, chwilę szukał wzrokiem młota, a kiedy go znalazł, wrócił do skuwania tynku z zawilgoconej ściany. Praca szła opornie, przede wszystkim z powodu kiepskich narzędzi. Nie pomagał też brak doświadczenia, ale do tego brat Alberyk sam przed sobą się nie przyznawał. Co więcej, był święcie przekonany, że przełożony okazał mu wielkie zaufanie, powierzając tak wymagające zadanie. Zgodnie z regułą opatowi nie wolno było żadnego mnicha wyróżniać ponad innych braci. Wyjątek od niej mógł uczynić jedynie wówczas, gdy któryś z zakonników był od innych lepszy w dobrych uczynkach. Inaczej wszystkich powinien traktować równo, zgodnie z ich zasługami. Tymczasem przecież jedynym, którego skierowano do skuwania tynków, był on sam!

Na tę myśl w ciele brata Alberyka rozlało się błogie ciepło. Poczawszy je, wyteżył wysiłki. Pech jednak chciał,

że gdy brał wielki zamach, szykując się do wbicia dłuta w oporny fragment tynku, drzwi do zakrystii otworzyły się i stanął w nich opat, za którego plecami widać było jeszcze kilku braci.

– Au! – wrzasnął Alberyk, trafiwszy się w palec wskazujący.

– Bracie, czyżbym przychodził nie w porę? – spytał Wolfgang.

– Bądź pozdrowiony, ojcze. – Alberyk skłonił się nisko, ssąc jednocześnie bolące miejsce.

– Jak idzie praca?

– Dobrze, ojcze – odpowiedział. – Na chwałę Bogu i... – Zamilkł nagle, czując kręcenie w nosie, po czym kichnął potężnie, wzbudzając ogromne tumany kurzu.

– Na zdrowie, bracie! – Opat zaśmiał się serdecznie. – Czy coś ci się stało? – dodał szybko, patrząc na twarz mnicha w ubrudzonym habicie.

Alberyk nic nie odpowiedział. Klęczał pod ścianą, jedną rękę wciąż trzymając dłuto, drugą pocierając o materiał – cały czas bowiem czuł pulsujący ból w palcu – i wpatrując się tępo przed siebie.

– Bracie? Co się stało? – Wolfgang był wyraźnie zaniepokojony.

– Tutaj... – szepnął, pokazując dłutem na przestrzeń przed sobą, w której klęby pyłu tańczyły w promieniach słońca. – Kurz... Światło... Postać...

– Jaka postać, bracie? – Opat spojrział z troską na zakonnik.

– Tutaj... Na samym środku... Widzę postać Najświętszej Pani...
Panienki...

– Najświętszej Paniienki? – Wolfgang obrócił się, szukając wzrokiem towarzyszących mu zakonników.

– Ja też to widzę. – Jeden z braci o obliczu anioła przeżegnał się bojaźliwie.

– To tylko światło słoneczne pada na poruszone naszą obecnością drobinki kurzu – rzekł twardo drugi zakonnik. Jego twarz z kolei cherubina nie przypominała, a to za sprawą gęstych brwi. – Tu nic nie ma, bracia.

Opat zrobił krok w tył, zmrużył oczy i już miał coś powiedzieć, gdy nagle ciszę rozdarło kolejne kichnięcie brata Alberyka.

– I Najświętsza Paniienka zniknęła. – Zakonnik z krzaczastymi brwiami cmoknął ironicznie.

– Bracie, nie bluźnij! – strofował Wolfgang. – Ja też coś widziałem...

– Znowu! – Mnich o twarzy anioła ponownie wykonał znak krzyża.

– To tylko światło... – zaprotestował braciszek z bujnym owłosieniem.

– Zobaczcie! – Alberyk podniósł się z kolan. – Promień słońca pada dokładnie na pęknięcie, które od dawna planujemy zakleić zaprawą. – Kucnął, po czym palcami dotknął posadzki.

– Bracia, nie chciałbym żadnego z was urazić, a tym bardziej wielebnego ojca – zakonnik z gęstymi brwiami wykonał ukłon w kierunku opata – ale bajdurzycie. Powinniśmy już wracać do biblioteki...

– Poczekaj! – Alberyk przysunął twarz do podłogi i dmuchnął mocno, zamknąwszy oczy.

Kolejny raz tumany kurzu wzbily się w powietrze, ale tym razem żaden z cystersów nie patrzył już na two-

rzony przez nie fantazyjne wzory, wszyscy wbili spojrzenia w szparę rozświetloną przez słońce.

– Tam coś jest... – Alberyk zbliżył się jeszcze bardziej. Potem podniósł się z klęczek, podszedł do kąta, sięgnął po największy młot, jaki miał na wyposażeniu i stanął przed opatem. – Ojcie, mogę?

– I tak trzeba to wymienić – rzekł Wolfgang.

Mnisi odsunęli się na bezpieczną odległość, wpatrując w miarowe ruchy współbrata. Ten zaś wkładał w uderzenia całą swoją siłę. Już po kilku ciosach płyta roztrzaskała się na kawałki, które wpadły do powstałej dziury.

– To jakaś pieczara. – Zakonnik z bujnym owłosieniem podszedł do ściany, zdjął z uchwyty kandelabr ze świecą i uklękł przed dziurą. – Widzę coś... Trzeba przynieść drabinę!

*

Kilka minut później mnisi wpatrywali się w drewnianą skrzynię stojącą na dębowym stole okrytym płótnem. Już na pierwszy rzut oka było widać, że leżała w jamie bardzo długo. Zarówno wieko, jak i sam kufer były mocno zbutwiałe, niemal rozpadały się w palcach.

– Czyńcie powinność, bracia. – Opat zajął miejsce, które zapewniało dobrą widoczność, po czym wykonał zachęcający ruch głową.

Chwilę potem Alberyk i zakonnik o twarzy anioła unieśli wieko, a oczom wszystkich ukazało się zniszczone zębem czasu płótno.

– Tylko ostrożnie! – Wolfgang czuł coraz szybsze bicie serca. – To musi być coś cennego, inaczej nasi poprzednicy nie ukrywaliby tego w tym miejscu. Bracie Alberyku, ty dostrzegłeś to, czego nasze oczy nie były w stanie

zobaczyć, tobie więc niech przypadnie w udziale odkrycie przed nami tej niezwyklej tajemnicy.

Mnich otrzepał dłonie z pyłu, następnie włożył je do skrzynki, dotykając delikatnie płótna.

– To chyba jakieś drewno – zauważył, po czym chwycił palcami znaleźisko. – Tak, to z pewnością drewno. – Uniósł pakunek z takim pietyzmem, jakby to była monstrancja ze świętą Hostią.

– Tylko ostrożnie! – Opat pośpieszył z pomocą, odwijając materiał. – Boże Święty! Przenajświętsza Panienska! – krzyknął.

Pozostali zakonnicy, widząc wyłaniające się twarze Madonny i Dzieciątka przeżegnali się bojaźliwie.

– To jest najświętsza ikona! Odnalazła się po tylu latach! – Wolfgang nie krył radości.

– Tu jest coś jeszcze! – Alberyk pokazał na dużo mniejsze zawiniątko pozostające we wnętrzu skrzyni.

– Nieważne! – powiedział opat niecierpliwie. – Zwołajcie wszystkich braci! Natychmiast!

*

Klasztorny refektarz, zwykle pełen ciszy i dostojęstwa, tym razem rozbrzmiewał mnóstwem głosów. Opat nie zamierzał nikogo strofować, co więcej, on sam chyba najbardziej się egzaltował.

Na stole stojącym pod oknem któryś z braci postawił krzesło, a na nim ikonę Matki Bożej Łaskawej, którą odnaleziono w tak niecodziennych okolicznościach. Dzięki temu każdy z zakonników mógł ją widzieć, mimo niewielkich przecież rozmiarów, bowiem deska, na której ją napisano, miała sześćdziesiąt na trzydzieści siedem centymetrów. Ramiona i głowę Maryi okrywała

pofałdowana chusta w ostrym czerwonym kolorze symbolizującym światło i ogień krzewu gorejącego. Tunika z kolei była zielona, co oznaczało nadzieję na duchową odnowę i życie wieczne. Dzieciątko trzymało w dłoni zwinięty pergamin: atrybut Bożej tajemnicy. Ikona nie posiadała światłocienia, a to z tego powodu, że zgodnie z zamysłem autora wszystko, co mieściła w swoich ramach, było światłością wyrażającą sobą niezniszczalność, wieczność i boskość.

Dodatkowej wyjątkowości dodawał fakt, że obraz przedstawiał Madonnę jako Hodigitrię – wskazującą drogę – czyli przewodniczkę pielgrzymów. Jakby tego było mało, szaty Dzieciątka wskazywały na zmieszanie cech bizantyjskich z niemieckimi, co z kolei pozwalało przypuszczać, iż napisano ją we Włoszech. Możliwe więc było, że obraz – pierwotnie powstały na Wschodzie – przemalowano albo też – to było drugie prawdopodobne rozwiązanie – jego autor z rozmysłem naśladował taki styl.

Jedna z legend mówiła, iż napisał ją pustelnik Krzesz mieszkający nad płynącą obok rzeką. Inna, że do miasta Rimini przywiózł ją z Bizancjum rycerz wracający z czwartej krucjaty, stamtąd zaś do Grüssau trafiła za sprawą aniołów.

Prawdy o jej powstaniu można się było zatem tylko domyślać, za to nikt nie miał wątpliwości, że ślad po niej zaginął 196 lat wcześniej, w 1426 roku, kiedy to klasztor najechali husyci, mordując wówczas siedemdziesięciu zakonników. Prawdopodobnie dwóch z nich, zanim straciło życie, zdążyło ikonę ukryć w przygotowanej na takie wypadki skrytce.

– Bracia! – Głos opata roznoszący się po refektarzu sprawił, iż mnisi w jednej chwili przestali rozmawiać.
– Niech imię Pana Boga naszego i Jego Matki będzie błogosławione! – Uklęknął, za jego przykładem poszli pozostali zakonnicy. – Módlmy się!

Rozdział 2

Wtorek 18 grudnia 1934 (ciąg dalszy)

– Módlmy się!

Donośny głos opata Alberta Pallentina wytrącił Dewarta z drzemki, w którą właśnie zaczął zapadać. Był tak rozbity, że w pierwszym momencie nie skojarzył nawet, gdzie się znajduje. Minęła dobra chwila, zanim oprzytomniał na tyle, by to sobie uświadomić i by się zorientować, że dopiero skończyło się kazanie.

Zaczął się wiercić na krześle, czując rosnące zniecierpliwienie. Tym większe, że nie przepadał za łaciną, zresztą, odklepywanie kolejnych wersów modlitw nigdy go nie pociągało. Nie to, co tych na dole, uśmiechnął się ironicznie, patrząc na wiernych tłoczących się we wszystkich nawach. Nawet kaplice boczne były wypełnione ludźmi!

Widząc nieprzebrany tłum, poczuł klaustrofobiczny ucisk i musiał głęboko odetchnąć, by odzyskać równowagę. Odwrócił głowę w kierunku ołtarza głównego, postanawiając zająć myśli czym innym.

Jeden z celebransów ściągał akurat puryfikaterz z kielicha, by wlać do niego wino i wodę. Mszałne obrzędy niewiele obchodziły Dewarta, odkąd od swojego pro-

boszcza – zapytawszy go o matematyczne implikacje związane z ciałem Chrystusa podawanym podczas komunii – otrzymał niezłą burę i kilka razy na otwarte dłonie. Nauczył się wówczas dwóch rzeczy: po pierwsze, niektórych pytań nie warto było zadawać; po drugie, otwartość umysłu nie zawsze szła w parze z uznaniem w oczach innych. W efekcie kolejnymi wątpliwościami z księżmi już się nie dzielił, a msze i nabożeństwa spędzał jak najdalej od ołtarza.

A teraz mnie podkusiło, żeby tu przyjeżdżać – zachnął się w myślach. Tyle kurortów było na Dolnym Śląsku, musiałem wybrać akurat ten? – Cmoknął pod nosem, po czym uniósł wzrok ponad celebransa, patrząc na ikonę, którą cystersi – niedługo po jej odnalezieniu pod posadzką zakrystii – umieścili w kaplicy św. Marii Magdaleny ówczesnego kościoła klasztornego. Kiedy pod koniec XVII wieku na jego miejscu wzniesli nową barokową świątynię, obraz trafił do ołtarza głównego – oprawiony w srebrną ramę wykonaną przez Benjamina Hentschela z Breslau³ – i znajduje się tu do dziś. To najstarsza ikona w Europie Środkowej.

Krótko po odkryciu znaleziska wieść o tym rozniosła się po całym Śląsku, szybko pojawiły się rzesze pielgrzymów, potem pierwsze cudowne uzdrowienia, a wizerunek Maryi z Dzieciątkiem otrzymał tytuł *Nostra Thaumaturga*⁴. 18 grudnia zaś, na pamiątkę odnalezienia obrazu, od tamtej pory obchodzono w Grüssau jako Dzień Świata.

³ Wrocław.

⁴ Nasza Cudotwórczyni.

Z dachu kaplicy loretańskiej niewielka ikona była ledwie widoczna, za to doskonale prezentował się ogromny obraz Piotra Jana Brandla – nazywanego czeskim Rubensem – zajmujący centralne miejsce ołtarza głównego i pokazujący Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny, otoczony przez dziewięć chórów anielskich dęta Dorasila. Dzieło malarza było tak wielkich rozmiarów, że wcześniej trzeba było wyprodukować specjalne płótno! Ponieważ używane w regionie krosna nie były tak szerokie, skonstruowano odpowiednie urządzenie pod to konkretne zamówienie.

Z realizacją wiązała się zabawna historia. Otóż wynagrodzenie, które Brandl miał otrzymać za namalowanie, wynosiło niebagatelne trzy tysiące florenów. Można było kupić za to trzydzieści domów w Grüssau lub trzy kamienice w Pradze. Artysta i jego dwaj pomocnicy mieli również zapewnione zakwaterowanie i wyżywienie: kilkudaniowe obiady i kolacje oraz sześć kwart piwa dziennie. Umowa nie przewidywała jednak darmowego wina, co sprawiło, że malarz szybko zadłużył się w trzech miejscowych karczmach. Do tego dochodził jeszcze dług u aptekarza za lekarstwa, tytoń i kosmetyki. Trzy tysiące florenów więc były, ale tylko na papierze, w rzeczywistości Brandl borykał się z problemami finansowymi. Z czasem, gdy wieść o zleceniu się rozniosła, do opata zaczęli się zgłaszać kolejni wierzyciele artysty. Opat dłużników cierpliwie spłacał, kwoty zaś potrącał z należnej zapłaty. Tak rozsiardził tym autora, że ten niemalże na samym środku obrazu umieścił odwróconego tyłem aniołka z nagimi pośladkami wypiętymi wprost w kierunku tronu opackiego.

Dewart zachichotał na myśl, że taki numer chętnie wywinąłby swojemu szefowi, gdyby oczywiście natura nie poskąpiła mu talentu malarskiego. Już miał się zaśmiać na głos, gdy wzrok padł na kolejkę wiernych zmierzających do ołtarza, by przyjąć komunię. Wielu wspierało się na kulach, innych wieziono w wózkach inwalidzkich, z których wystawały nienaturalnie powyginane kończyny.

Przed oczami stanął mu szpital polowy, do którego trafił uderzony szrapnelem w ramię, i dziesiątki zabandażowanych mumii nie do rozpoznania. Jęki bólu i prośby o skrócenie cierpienia, jakie co noc niosły się po całej sali, były wciąż żywe, jakby działo się to wczoraj. Westchnął głęboko, ale nie przyniosło to ulgi, wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że powietrze przepelnia palący ogień...

Nagle usłyszał jęk dziecka. Błyskawicznie spojrzął w kierunku nawy głównej, ujrzał może dziesięcioletniego chłopca leżącego na posadzce, obok którego stał wózek inwalidzki. Musiał z niego spaść, tłukąc się boleśnie, jako że zarówno ręce jak i nogi miał sparaliżowane. Dewart patrzył na jego ojca, niemal czując wysiłek, jaki ten wkładał, by bezwładne ciało syna unieść i posadzić z powrotem na miejscu. Jednocześnie bił od niego spokój, nawet z takiej odległości dawało się wyczuć wielką miłość rodzica do swojego dziecka.

Rozdający komunię kapłan podszedł do wózka, pogłaskał głowę chłopca, szepnął coś na ucho najpierw jemu, a następnie ojcu, po czym podał opłatek. Chwilę potem odjechali, odprowadzani wzrokiem przez Dewarta. Kiedy zniknęli, poczuł przejmującą pustkę. Wie-

dział doskonale, czym była spowodowana, tak samo jak zdawał sobie sprawę, że nawet upływający czas nie zagoi tak dużej rany.

Załamionymi oczami spojrział na Matkę Bożą Łaskawą. Mimo że z daleka niemal niewidoczna, czuło się, że to nie monumentalne freski Neunhertza, nie wielkie anioły Dorasila i nie ogromny obraz Brandla były największymi skarbami kościoła klasztornego, tylko właśnie ta niepozorna ikona. To za jej przyczyną wierni pielgrzymowali do Grüssau i nawet on, człowiek tak małej wiary – żeby nie powiedzieć: bezgranicznie wątpiący – czuł, że dla nich nie jest to zwykły obraz, lecz coś znacznie więcej.

– Boże, dlaczego mnie opuściłeś? – szepnęła przez zaciśnięte zęby, nawet nie próbując walczyć ze łzami płynącymi po policzkach. Narastało w nim zmęczenie. Zerknął na zegarek, nic dziwnego, wszystko trwało już prawie trzy godziny! Jakby tego było mało, krzesło, na którym siedział, cały czas się chybotало, wzmagając irytację. Spojrział na dół i błyskawicznie zrozumiał, w czym rzecz. Trzy nogi stały na dywanie, czwarta na posadzce. Nie namyślając się wiele, przestawił mebel, co od razu poprawiło sytuację. Złość jednak wciąż trawiła jego trzewia, postanowił więc przyjrzeć się sprawcy takiego stanu rzeczy.

Dywan leżący na posadzce balkonu był stary, miejscami dziurawy, absolutnie nieprzystający do wyposażenia kościoła klasztornego, zupełnie, jakby ktoś zostawił go tutaj przypadkowo. Czyżby benedyktyni nie przejmowali się tym, co niewidoczne dla wiernych? Inni przecież nie mieli tu wstępu...

Dewart westchnął, wspominając ukryte przejście wiodące za ołtarzem kaplicy loretańskiej, potem schody tak wąskie, że z trudem się na nich zmieścił oraz przetarty i przeżarty molami dywan zupełnie niepasujący do elementów tajemniczej układanki.

Co będzie dalej? – zaczął się zastanawiać.

Nagle poczuł burczenie w brzuchu. Już miał ponownie spojrzeć na zegarek, ale zrezygnował, wołał nie denerwować się bardziej. Z ołtarza dobiegł dźwięk dzwonek, bezwiednie zerknął w tamtą stronę, wzrok padł na gołą pupę aniołka.

Dewart nie powiedziałby tego na głos, ale w tej chwili miał ochotę dokładnie taki sam gest wykonać w kierunku opata Pallentina. Więcej! Gdyby mógł, wróciłby natychmiast do pokoju, spakował walizki i z samego rana się wyprowadził.

Nie chciał jednak robić przykrości wujowi.

Rozdział 3

Z jednej strony był tak zmęczony, że miał ochotę od razu po powrocie do pokoju wziąć kąpiel i rzucić się do łóżka, z drugiej jednak kiszki grały mu tak głośnego marsza, że wiedział, iż bez kolacji się nie obędzie.

Tego dnia wieczera w domu gościnnym opata miała być niezwykle uroczysta, oprócz duchownych zapowiedziano kilku gości, w tym miejscowych fabrykantów. Dewartowi było to nie w smak, lecz jeśli nie chciał się kłaść spać z pustym żołądkiem, musiał odłożyć dziwactwa na bok.

Był jednak na tyle kiepskim aktorem, że Pallentin od razu wyczuł pismo nosem.

– Widzę, że nasz szacowny gość jest zmęczony – rzekł, gdy tylko usiedli do stołu.

– Dzisiaj można we mnie czytać jak w otwartej księdze – przyznał Dewart. – Za to mój wuj wygląda, jakby dopiero co wstał z łóżka. – Spojrzał z uśmiechem na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu, który wyglądał na dwadzieścia lat starszego.

– Bo tak było... – Ferdinand Pointstingl westchnął głęboko. – Ojciec wielebny, przyjmij moje przeprosiny i wybacz, że taka grzeszna owieczka, jak ja, nie była obecna na uroczystości, ale przegrałem z podagrą.

– Jeśli dokuczają panu podagra, to jest pan absolutnie usprawiedliwiony. – Do rozmowy włączył się Wacław Lubomski, drugi z zakonników.

– W przeciwieństwie do jednego z naszych braci, którego inni na próżno szukali – wtrącił opat.

– Kogoś zabrakło na mszy? – zaciekawiał się Pointstingl. – Myślałem, że w tak ważnej uroczystości udział biorą wszyscy bracia.

– Jak widać, nie zawsze. – Pallentin się skrzywił.

– A panu, nasz drogi gościu – Lubomski skierował te słowa do Dewarta – trzeba wiedzieć, że trzygodzinne nabożeństwo to wcale nie tak długo. – Mrugnął znacząco okiem.

– Niedługo? – wypalił Dewart. – Przecież to wieczność cała!

– Wieczność? – Zakonnik pokazał zęby. – To co by pan powiedział, gdyby brał udział w konsekracji naszego kościoła klasztornego? – Zaczął opowiadać.

Głównym gościem uroczystości 3 lipca 1735 roku był kardynał Filip von Sinzendorf z Breslau, który do Grüssau przybył na czele licznego orszaku, wystarczyło wspomnieć, że wszystkie karoce ciągnęły trzydzieści dwa konie! Po przyjeździe i odpoczynku udzielił sakramentu bierzmowania siedmiu tysiącom osób. Ze względu na to, iż poruszał się na wózku inwalidzkim, namaścił tylko mensę ołtarza głównego, pozostałe ołtarze w jego imieniu konsekrował opat.

– Razem z mszą zajęło to cztery i pół godziny – wyliczył Lubomski. – Potem była uczta, wznoszenie toastów i zabawa przy muzyce przerywana salwami z moździerzy umieszczonych na górze świętej Anny. A wieczorem uczniowie szkoły klasztornej wystawili sztukę teatralną przedstawiającą historię założenia opactwa przez księcia Bolka I Świdnickiego nazywanego też Surowym. Rzesza pielgrzymów liczyła dwadzieścia tysięcy osób! Dla ich bezpieczeństwa ze Schweidnitz⁵ ściągnięto wojsko, które ochraniało nowy kościół.

– Bardzo duży kościół – zauważył Dewart. – Żeby nie powiedzieć: ogromny!

– Nie można się z panem nie zgodzić – wtrącił opat. – A czy jest panu i naszym gościom wiadome, że kościół klasztorny w obecnej formie nie powstałby, gdyby nie reformacja i następująca po niej kontrreformacja? Ugoda podpisana w 1707 roku nakazywała cesarzowi Józefowi I zwrot protestantom stu dwudziestu jeden kościołów. Dwa lata później doszedł jeszcze do tego reces, zgodnie z którym mogli oni postawić dodatkowo sześć

⁵ Świdnica.

świętyń, tak zwanych kościołów Łaski, nazywanych też Domami Łaski Cesarskiej.

– Budowę dwóch z nich zaczęto w sąsiednim Landeshut⁶ i niedalekim Hirschberg im Riesengebirge⁷ – dodał Lubomski. – Taki stan rzeczy odebrano w Grüssau jako policzek wymierzony nie tylko w samo opactwo i cystersów, ale całe chrześcijaństwo. Ówczesny opat Innocenty Fritsch posunął się więc do kroku dla zakonu wręcz niebywałego, podejmując wiekopomną decyzję o zburzeniu gotyckiego kościoła klasztornego i postawieniu na jego miejscu nowej świątyni barokowej, której rozmach i przepych miały przyćmić protestancki kościół Łaski. Jego prace kontynuował opat Benedykt II Seidel – westchnął, po czym mówił dalej.

O skali przedsięwzięcia świadczył fakt, że do budowy zatrudniono ponad czterdzieści warsztatów murarskich, dwanaście kamieniarskich, trzynaście ciesielskich i dziesięć rzeźbiarskich. Budowa – razem z mauzoleum Piastów – trwała zaledwie siedem lat – tyle samo, ile królowi Salomonowi zajęło wzniesienie świątyni jerozolimskiej. Wyzwaniem rzuconym protestantom był zarówno cały kościół, jak i jego poszczególne elementy, na przykład napis umieszczony nad głównym wejściem: *Domus Gratiae Sanctae Mariae* – czyli Dom Łaski Świętej Maryi – będący jawnym prztyczkiem wymierzonym w protestanckie Domy Łaski Cesarskiej.

Kolejni opaci na pole walki z reformacją ściągali sztuki piękne. Sprowadzili do Grüssau wybitnych artystów z Czech, Bawarii, Austrii, Moraw i Śląska. Nie było to

⁶ Kamienna Góra.

⁷ Jelenia Góra.

tanie, ale cystersi, po pierwsze, do skąpigroszów nie należeli, po drugie, odpowiednie zarządzanie dobrami opactwa – przy jednoczesnej wierności dewizie *Ad maiorem Dei gloriam*⁸ – zapełniło jego skarbiec po brzegi. Samych stawów hodowlanych w okolicy mieli kilka tuzinów!

Pierwszym, który dał podwaliny do stworzenia w Grüssau wielkiej perły artystycznej i religijnej, był opat Bernard Rosa. To on zatrudnił śląskiego Rembrandta – Michała Willmanna – i założył bractwo świętego Józefa, które w czasach świetności liczyło sto tysięcy osób, pośród których znajdowały się największe osobistości Śląska. Dla nich zresztą w bliskim sąsiedztwie kościoła klasztornego kazał wznieść kościół bracki. Jeszcze wcześniej przyszedł czas na budowę okazałej kalwarii.

Rosa walczył z reformacją pędzlem i kielnią, ale – kiedy trzeba było – potrafił też gniewnie uderzyć pięścią w stół. Stało się tak w 1667 roku, kiedy to z Reichhennersdorfu⁹ wygnał tysiąc dwustu czterdziestu ewangelików, po tym, jak odmówili konwersji na katolicyzm. Jako wikariusz generalny cystersów na Śląsku germanizował też inne konwenty, ba, bywało, że denuncjował niektórych opatów! Słowem, w kwestiach wiary nie uznawał kompromisów, czym u wiernych wzbudzał podziw, u przeciwników zaś respekt mieszający się ze strachem.

Budowa barokowego kościoła klasztornego nie była jedyną inwestycją ówczesnych cystersów. Na przedłużeniu świątyni postawiono kaplicę św. Marii Magdale-

⁸ Ku większej chwale Bożej.

⁹ Przedwojów.

ny, w której umieszczono przedostatnią stację kalwarii. W tym samym okresie rozpoczęła się też budowa nowego klasztoru. Prace trwały aż pół wieku, a i tak nigdy ich nie ukończono, wszystko z powodu zajęcia Śląska przez Prusy w 1741 roku i osiemdziesięcioprocentowego podatku, jakim obłożono konwent na mocy decyzji króla Fryderyka II, który zapragnął jak najszybciej wzbogacić się kosztem zdobytej prowincji.

– Nasi wielebni ojcowie wspominają złote czasy opactwa, zapomnieli jednak dodać, że ich majątność nie przekładała się na los mieszkańców klasztornych wsi – rzucił Pointstingl zaczepnie. – Dość wspomnieć, że pod koniec osiemnastego wieku głodujący tkacze zbuntowali się, a wezwane wojsko zmusili do ucieczki do klasztoru.

– Historia różne koła toczyła, toczy i toczyć będzie. – Opat złożył ręce jak do modlitwy.

– Że wspomnimy 1810 rok i sekularyzację klasztoru, po której zaczął popadać w ruinę – westchnął Lubomski.

– Z której to właśnie ojcowie benedyktyni zaczęli klasztor podnosić – wtrącił Pointstingl. – Za co należą im się wielkie słowa uznania!

– Wuj raz naszych gospodarzy komplementuje, innym razem gani... – zauważył Dewart. – Jakbym wuja nie znał, to bym pomyślał, że chce zaognić rozmowę...

– Bo inaczej wszyscy przy stole zasną! – Trzasnął otwartą dłońią w blat. – Ale masz rację, mój drogi siostrzeńcu, to była niegrzeczność z mojej strony, za co gorąco przepraszam naszych szacownych gospodarzy i miłych gości. A tobie, Gustavie, dziękuję za czujność

i odwagę, żeby starszego od siebie ustrzec przed złą drogą.

Dewart spojrzał baczenie, nie wiedząc, czy krewny kpi z niego.

– Mówiłem jak najbardziej poważnie – kontynuował Pointstingl. – Musicie wiedzieć, że mało znam takich osób, które zawsze wiedziałyby, co trzeba robić. Nie chciałbym w tym momencie uprawiać prywaty, ale muszę się pochwalić: mój siostrzeniec jest wybitną osobowością!

Dewart poczuł na sobie spojrzenia i zapragnął zapaść się pod ziemię.

– Tak, to człowiek o niesamowitej wręcz inteligencji. – Pointstingl wyraźnie nie zamierzał przestać. – Jak niektórzy z was wiedzą, pracuje w policji kryminalnej i to w randze komisarza. Awansować tak wysoko w tak młodym wieku to wybitne osiągnięcie!

– Znam wielu, którzy awansowali jeszcze szybciej – powiedział skromnie Dewart.

– Zbędna kurtuazja, mój drogi, zbędna. – Machnął lekceważąco ręką.

– Może pan komisarz kryminalny uraczyłby nas jakąś historią z życia wziętą? – spytał Lubomski.

– Nie daj się namawiać! – Pointstingl poparł mnicha.

– Najlepiej opowiedz o tym wypadku, kiedy rozwiązałeś sprawę, prawie nie ruszając się zza biurka.

– Wuj przesadza...

– Ja przesadzam? – Udał urażonego. – Złapał groźnego przestępcę, wcześniej rozrysowując łączące go z ofiarami powiązania na wielkim arkuszu papieru, który ma zawieszony w gabinecie. Dobrze mówię?

– Wuju, nie tylko ja robię notatki, które później pomagają mi rozwiązać sprawę. – Dewart czuł się nieswojo. Nie lubił być w centrum uwagi, przeciwnie, wołał trzymać się na uboczu, by w odpowiedniej chwili przejść do ofensywy. – Poza tym, wuj już tyle razy słyszał tę historię, że musi ją znać na pamięć...

– Ja może i tak, ale nasi szacowni gospodarze i goście wielebnego opata na pewno są ciekawi szczegółów!

– Pointstingl klasnął.

– Umieramy wręcz z ciekawości! – Lubomski przyszedł mu w sukurs. – Panie komisarzu kryminalny, niech pan się nie opiera! Czekamy!

Dewart zdał sobie sprawę, że wuj i zakonnicy nie odpuszczą, zaczął więc opowiadać, starając się oszczędzić najbardziej krwawych szczegółów. Kiedy skończył, nagrodzono go burzą braw.

– Winszuję! – Opat był wyraźnie pod wrażeniem. – Wielka inteligencja i genialna dedukcja!

– Jak mawiał święty Bernard, z pięciu różnorodnych pobudek uczy się człowiek – rzekł Lubomski. – Aby posiadać wiedzę, aby przez tę wiedzę siebie określać, aby tą wiedzą handlować, aby nią budować albo zostać zbudowanym¹⁰. Z pańskiej opowieści wynika, że pod tym konkretnym względem jest pan człowiekiem kompletnym.

Dewart uśmiechnął się, w głębi duszy zastanawiając, co zakonnik miał na myśli, mówiąc o tym konkretnym względzie. Czyżby to, że pod innym czegoś mu brakowało? Ciekawe, ile wie – pomyślał, na głos zaś powiedział:

– Bardzo dziękuję, ale dostrzegam niechybnie, że moje umiejętności zostały przecenione.

¹⁰ Ten i inne cytaty ze świętych za: <http://www.cystersi.pl>.

– I jeszcze ta skromność. – Opat się uśmiechnął. – Cieszę się, że jest pan naszym gościem, panie Gustavie.

– A ja bardzo dziękuję za zaproszenie. – Dewart skinął uprzejmie. – Przy okazji chciałem też wyrazić wdzięczność mojemu wujowi, który poprosił wielebnych ojców o schronienie dla mnie i to nie w byle jakim pokoju, bo samym apartamencie biskupim! – Zaśmiał się.

– Ależ innej możliwości nie było! – Pallentin zawtórował śmiechem. – Pański wuj jest jednym z fundatorów nowych dzwonów, które już niedługo, w ramach dwustulecia konsekracji kościoła klasztornego zawisną na jego wieżach. Choćby z tego względu zasługuje na wdzięczność konwentu. Tym większą, że w ostatniej chwili wyłożył brakującą kwotę i to dosyć znacznych rozmiarów!

– Dla mnie to również sama przyjemność, Gustavie – zapewnił Pointstingl. – Cieszę się, że chociaż w ten drobny sposób mogłem ci pomóc w tych ciężkich dla ciebie czasach.

– Jeśli mogę prosić o wybaczenie... – Policjant poczuł się nagle ogromnie zmęczony. – Na mnie powoli już czas... – Wróciła myśl, by spakować walizki i wynieść się jak najdalej stąd. Czuł się jak Judasz, wdzięczny się do gospodarzy i wuja, a tymczasem nie był wcale zadowolony z pobytu w opactwie.

– Jak zawsze powiedziałem za dużo, przepraszam... – westchnął Pointstingl. – Wielebny ojcze, kiedy poznamy pozostałych braci? – Zmienił temat.

– Jak nakazał święty Benedykt: opat powinien stale jadać z gośćmi i pielgrzymami, chyba że jest ich mało, wówczas ma prawo do posiłku zaprosić tych braci, któ-

rych zechce – odpowiedział Pallentin. – Jadalnia domu gościnnego ma jednak ograniczone możliwości, więc może kiedy indziej...

– Inna reguła Benedykta mówi, że nie można być pijącym za dużo, nie można być żarłokiem, nie można też być ospałym ani leniwym – dodał Lubomski. – Dlatego i nam przyjdzie pora się z panami pożegnać.

– Ależ wielebni ojcowie... – Pointstingl zaczął protestować, jednak jego głos zginął w hałasie otwieranych drzwi.

Pojawiła się w nich twarz młodego mnicha, na której malowało się przerażenie. Zakonnik podszedł bez słowa do opata, nachylił się nad nim i szepnął mu coś do ucha.

– Panowie wybaczą, ale stała się rzecz straszna. – Pallentin pobladł.

Rozdział 4

Opat wypadł z jadalni jak burza, nic więcej nie mówiąc. Nawet ojca Lubomskiego zostawił w zupełnej niewiedzy. Zakonnik jednak nie protestował, widać było, że nie na próżno ślubował posłuszeństwo przełożonym. Szybko też otrząsnął się z czarnych myśli i przejął rolę gospodarza, próbując zabawiać gości.

Dewart, który chwilę wcześniej myślał już tylko o kąpieli i grubej pierzynie, postanowił wytrwać i poczekać na powrót Pallentina. Spędził już w opactwie prawie dwa tygodnie, czas dłużył mu się niemiłosiernie, bowiem był przyzwyczajony do szybszego tempa życia. Nic więc dziwnego, że rozpatrywał sytuację z punktu

widzenia kogoś, dla kogo najmniejsza nawet rozrywka jest na wagę złota.

Spojrzał na wuja. Ten nie wyglądał już na znudzonego. Dla niego to pewnie też kolejna atrakcja, chociaż przyjechał do Grüssau dopiero dwa dni temu i nie mógł się tak wynudzić, jak ja – uśmiechnął się w myślach.

Pointstingl ożywił się do tego stopnia, że wszedł zakonnikowi w słowo i chwilę później zaczął chwalić się wiedzą o historii opactwa.

– Benedyktyni z czeskich Opatovic pojawili się na tych ziemiach w 1242 roku, kiedy to księżna Anna ufundowała w Neuen¹¹ klasztor, wypełniając tym samym testament swojego męża Henryka II Pobożnego poległego w bitwie pod Liegnitz¹², kiedy bronił chrześcijaństwa przed Mongołami.

– W Neuen? – zdziwił się Dewart. – Przecież to jakieś dwa kilometry stąd. Chyba się, wuju, pomyliłeś.

– Nie! – Pointstingl triumfował. – Pierwszą lokalizację opactwa w Neuen potwierdzają wykopaliska archeologiczne przeprowadzone na początku naszego wieku. Obok obecnego kościoła filialnego pod wezwaniem świętego Wawrzyńca znaleziono relikty dawnych murów mogących być zabudowaniami klasztorными. Ówczesna wieś nosiła nazwę Cresovbor lub Cressebor¹³. Później cystersi mieli tu stawy hodowlane...

– Cystersi? – Dewart spojrzał zaskoczony na Lubomskiego. – Nie benedyktyni?

– Cystersi – potwierdził zakonnik. – Benedyktynom musiało się tutaj źle powodzić, jako że nieco ponad pół

¹¹ Krzeszówek.

¹² Legnica.

¹³ Krzeszów Bór.

wieku później za dwieście czterdzieści grzywien srebra sprzedali dobra wnukowi księżnej Anny, Bolkowi I Surowemu. A ten szybko sprowadził tu cystersów z opactwa w niedalekim Heinrichau¹⁴.

– Hipotezę, że pierwszy klasztor benedyktynów znajdował się w Neuen potwierdza też fakt, że przed wiekami nasz zakon na założenie opactwa wybierał tereny góryste, a kościół świętego Wawrzyńca znajduje się na niewielkim wzniesieniu – zauważył Lubomski. – Cystersi z kolei osiedlali się na nizinach, nierzadko w miejscach niedostępnych, takich jak bagna, które następnie osuszali. Można więc przypuszczać, że z tego właśnie powodu porzucili Neuen i na swoją siedzibę wybrali Grüssau.

– Dwunastu zakonników przybyło tu w sierpniu 1292 roku – opowiadał dalej wuj. – Miesiąc później spisano nadanie, w którym przekazano mnichom dwadzieścia dwie wsie. Nowemu opactwu nadano wezwanie *Gratia Sanctae Mariae*¹⁵. Niezwykle interesujący jest fakt, że Piastowie Śląscy, którzy ufundowali opactwo, nie zlokalizowali go w bogatym Schweidnitz, który był ich główną rezydencją, tylko w małej wsi...

– Liczyli, że cystersi doprowadzą do rozwoju tych terenów – wtrącił Lubomski. – Jak pokazały kolejne wieki, wykazali się nie lada mądrością i przenikliwością...

Biali mnisi rozpoczęli działalność od wzniesienia kościoła – kilka wieków później rozebranego – potem od południa dołączyli do niego klasztor stworzony na planie czworoboku z otwartym dziedzińcem, posta-

¹⁴ Henryków.

¹⁵ Łaski Świętej Maryi.

wili też szereg budynków gospodarczych, zamieniając teren opactwa w wielki plac budowy. Cystersi nie tylko otrzymywali dobra od kolejnych rodzin szlacheckich, ale sami też potrafili właściwie inwestować. Dzięki temu pół wieku później wzbogacili się o dwa miasta – Liebau¹⁶ i Schömberg¹⁷ – a posiadłości opactwa sięgały do Striegau, Jauer i Schweidnitz¹⁸, były ówczesnie największymi na Śląsku, zaraz po dobrach rodziny panujących książąt.

– Mała ciekawostka – rzekł wuj. – Przez całe wieki nazwa Grüssau dotyczyła tylko terenu otoczonego murem klasztornym, inne zaś zabudowania ciągnące się wzdłuż rzeki Zieder¹⁹, od Neuen po Oberzieder²⁰ określano wcześniej jako Hermsdorfgrüss. Dopiero niedawno wieś przyłączono do opactwa, pozostawiając nazwę tego drugiego.

– I bez terenu klasztorne Grüssau to bardzo duża wieś – zauważył Dewart.

– Większa od niejednego śląskiego miasteczka. – Po-
intstingl się zaśmiał. – Jeśli dobrze pamiętam, zeszłoroczny spis wykazał ponad tysiąc pięciuset mieszkańców. Dla porównania dodam, że...

W tym momencie drzwi do jadalni otworzyły się z hukiem. Mina stojącego w nich Pallentina mówiła sama za siebie.

– Ojczy – opat zwrócił się do Lubomskiego – nie-
słusznie posądzaliśmy naszego brata o lenistwo. Za-

¹⁶ Lubawka.

¹⁷ Chełmsko Śląskie.

¹⁸ Strzegom, Jawor i Świdnica.

¹⁹ Zadrna.

²⁰ Czadrów.

raz po mszy zleciłem odszukanie Bronisława, aby go potem przykładowo ukarać... Właśnie go znaleźliśmy...

– Wstrzymał głos. – Martwego.

– Martwego? – spytał Dewart, czując to specyficzne napięcie w brzuchu towarzyszące mu zawsze w pracy zawodowej.

– Utopił się w kloace.

– Wciąż tam jest?

– Nie ruszaliśmy ciała – zapewnił Pallentin.

– Jeśli wielbny ojciec pozwoli, chciałbym obejrzeć to miejsce – rzekł komisarz kryminalny. – Zanim przyjedzie miejscowa policja z pewnością minie trochę czasu...

– Policja? – Opat wyglądał na przestraszonego.

– To wszystko zależy od okoliczności...

– Dobrze. Ojcie Wacławie, proszę zatelefonować na policję. – Pallentin podjął decyzję. – Miejsce to znajduje się w klauzurze, ale ze względu na wyjątkową sytuację pan jako przedstawiciel odpowiednich służb ma prawo tam wejść. – Spojrzał na Dewarta. – Chodźmy zatem!

Rozdział 5

Kiedy wyszli z domu gościnnego opata, w policjanta uderzył porywisty wiatr, tak silny, że niemal go przewrócił. Schylił się, aby dać odpór gwałtownym podmuchom, po czym ruszył za opatem. Minęli okazały kościół świętego Józefa, potem wozownię, kościół klasztorny i znaleźli się na ścieżce prowadzącej do głównego wejścia do konwentu.

Był tak zaaferowany wypadkiem, że nie zauważył wystających cegieł i kamieni, pozostałości po zachodnim skrzydle – jeszcze gotyckim – które ze względu na zły stan techniczny postanowiono w 1873 roku wysadzić w powietrze. To było ostatnie stadium kapitulacji opactwa, które na rozkaz króla Fryderyka Wilhelma III skasowano w 1810 roku, pół wieku po tym, jak Prusacy podbili Śląsk. W tamtym czasie majątek cystersów z Grüssau obejmował dwa miasta, czterdzieści dwie wsie i osiemnaście folwarków rozciągających się na powierzchni trzydziestu tysięcy hektarów.

Kościół klasztorny stał się świątynią parafialną, czterdziesty siódmy opat zaś – Ildefons Reuschel – objął probostwo już jako ksiądz diecezjalny, nie cysters. Smutny los spotkał także dom gościnny opata, który przejęło leśnictwo, w części klasztoru stworzono szkołę ludową. Później było już tylko gorzej: zerwano miedziane obicia kopuł nad mauzoleum, uszkadzając przy okazji dach samego kościoła, który naprawiono potem za pomocą gliny. Zarzucono też konserwację kamiennych rzeźb zdobiących fasadę dawnego kościoła klasztornego, co wkrótce doprowadziło do ich zwietrzenia.

Na szczęście w 1919 roku – po ponad siedmiuset latach – historia zatoczyła koło i do Grüssau wrócili benedyktyni, tym razem z praskiego opactwa Emaus. Co prawda nie było ich tylu, co cystersów w najlepszych czasach – pięćdziesięciu pierwszej kategorii i nawet cztery razy tyle braci drugiej kategorii, czyli konwertów – ale i tak niemalże od razu zabrali się za remonty, prowadzili też badania nad historią opactwa. Ich działania ożywiły ruch pielgrzymkowy, czemu dodatkowo sprzy-

jał fakt, iż w 1924 roku konwent podniesiono do rangi opactwa.

– Tędy. – Opat pokazał drogę, zupełnie niepotrzebnie, bo wystarczyło kierować się zapachem.

– Czuję – rzekł Dewart, marszcząc nos.

– Niech pan nie narzeka, można powiedzieć, że teraz to prawie w ogóle nie śmierdzi. – Stanął przed otwartymi na oścież drzwiami. – Kiedy się tutaj pojawiliśmy, stan klasztornych kloak wołał o pomstę do nieba a fetor po prostu przyprawiał o mdłości. Zamontowaliśmy nowe ubikacje i ułożyliśmy rury doprowadzające wodę.

– Zatem skąd ten smród?

– Stąd. – Wskazał ręką.

Dewart zmrużył oczy, próbując dostrzec potrzebne szczegóły w ciemnościach rozpraszanych jedną słabą żarówką. Pomieszczenie podzielone było drewnianymi ściankami oddzielającymi poszczególne kabiny. W ostatniej nie było jednak muszli sedesowej, tylko drewniana pokrywa z okrągłą dziurą w środku, zamocowana dodatkowo na zawiasach i podnoszona w razie potrzeby.

– Niech zgadnę, zostawiliście jedną, żeby mieć dostęp do odpływu, który co jakiś czas się zatyka? – spytał.

– Dokładnie tak – westchnął Pallentin, pokazując na uniesione wieko, obok którego sterczały dwie obute nogi. – Gdyby ktokolwiek przypuszczał, że tak się stanie, rozwiązalibyśmy to inaczej...

– Po szkodzie każdy jest mądry. – Dewart podszedł bliżej. – Posadzka też prosi się o remont – rzekł, stanący na chyboczącej się płycie.

– Żeby pan wiedział. Część płyt już wymieniliśmy, nawet się okazało, że jedna z nich to epitafium dawnego opata Tobiasa Hallera.

– Epitafium? – Zaciekał się.

– Bracia ją oczyścili i umieścili w części korytarza przylegającej do zakrystii. Widocznie użyto jej do naprawy zniszczonej posadzki.

– Szkoda, że nie tego konkretnego fragmentu – powiedział kąśliwie. – Na mój nos ojciec Bronisław śpieszył się za potrzebą, chcąc ją załatwić przed rozpoczęciem uroczystości. Pech chciał, że zahaczył o wystającą krawędź, potknął się i tak nieszczęśliwie przewrócił, że wpadł do kloaki, którą ktoś przypadkiem zostawił otwartą... Jak często trzeba udroźniać odpływ?

– Często... Raz na tydzień co najmniej... Rura odpływowa jest już stara i zarośnięta...

– To by się zgadzało. Jedyne pytanie, które mi się nasuwa, to...

Nagle z głębi korytarza dobiegł tubalny głos. Chwilę potem w drzwiach stanął potężnej budowy mężczyzna w mundurze żandarma z głową łąsą jak kolano. Za nim stał drugi policjant, niższy i z krótko przystrzyżonymi włosami.

– Ojczye wielbny, zjawiłem się najszybciej, jak tylko się dało – mówił nieznajomy, a słowa odbijały się echem od ścian, sprawiając, że trudno było pojąć ich sens. – Poinformowano mnie, że jeden z braci miał wypadek.

– Herr Obermeister, ojciec Bronisław został znaleziony w tej kloace. – Opat wskazał ręką na ostatnią kabinę.

– Jacyś bezpośredni świadkowie?

– Żadnych. Jak pan wie, mieliśmy dziś ważną uroczystość i wszyscy bracia byli bardzo zajęci... Podejrzewamy, że ojciec Bronisław śpieszył się, chcąc załatwić potrzebę przed mszą, potknął się na tej nierównej płycie – stuknął butem w posadzkę – i wpadł do kloaki. Dalszy bieg wypadków można sobie łatwo wyobrazić.

– My, czyli wielebny ojciec i kto jeszcze? Ktoś tu był przed wielebnym ojcem?!

– Kiedy ojciec Bronisław nie pojawił się na mszy, nakazałem jego odszukanie. Znalazł go jeden z braci i natychmiast mnie powiadomił. Nikt inny tutaj nie wchodził – odpowiedział Pallentin. – Nie licząc naszego gościa.

– Gościa? – Dopiero teraz żandarm dojrzał postać Dewarta skrytą w cieniu pod ścianą. – Kto to?

– Nasz gość – wyjaśnił opat. – Poprosiłem go o pomoc z racji...

– Ja jestem komendantem powiatowej żandarmerii – wszedł mu w słowo – i to ja powinienem jako pierwszy oglądać to miejsce!

– Oczywiście... – odparł Pallentin zdenerwowany. – Herr Obermeister, nie wiedziałem, że zjawi się pan tak szybko... Dlatego uznałem, że skorzystanie z pomocy pańskiego kolegi po fachu będzie dobrym pomysłem...

– Kolegi po fachu? – Mężczyzna przejechał dłonią po łysinie. – Pan jest policjantem?

– Komisarz kryminalny Gustav Dewart. – Wyciągnął rękę na przywitanie.

– Starszy mistrz Felix Walsleben, komendant żandarmerii powiatu Landeshut. – Odwzajemnił gest, w jednej chwili zmieniając zachowanie. – A to starszy wachmistrz

August Stenzel, miejscowy żandarm. – Przedstawił drugiego mężczyznę. – Herr Kriminalkommissar, proszę wybaczyć moje zachowanie, ale nie wiedziałem, że zjawił się pan już na miejscu... Zresztą...

– Zresztą co? – Dewart wbił spojrzenie w komendanta.

– Przepraszam, ale nie wygląda pan na policjanta... Zmyliło mnie to...

– To? – Dotknął palcem prawego policzka, muskając opuszkami bliznę w kształcie cięciwy łuku biegnącą od kącika ust aż do skroni.

– Nabawił się pan tego na służbie? – Przez Walslebena przemawiała zawodowa ciekawość.

– Faktycznie wyglądam z tym jak oprych. – Zignorował pytanie. Nie miał ochoty uzewnętrzniać się przed nieznanymi, nawet jeśli byli kolegami po fachu. Tym bardziej że szrama była pamiątką z zatrzymania, podczas którego zachował się jak ostatni żółtodziób i które w ostatecznym efekcie skończyło się tragicznie. Na samą myśl czuł nieprzyjemne skurcze w brzuchu.

– Bardzo szybko ściągnęli pana z rejencji, jestem pod wrażeniem. – Walsleben prężył się jak struna.

– Z rejencji? – Dewart był zaskoczony.

– Z rejencji legnickiej, ma się rozumieć!

– Nie przyjechałem z rejencji – wyjaśnił spokojnie.

– Przebywam tutaj prywatnie, na wypoczynku...

– Herr Kriminalkommissar, zatem wprowadził mnie pan w błąd! – W głosie Walslebena nie było już śladu uprzejmości.

– Tak? – Dewart nie był z tych, co dają sobie dmuchać w kaszę. – Mianowicie kiedy wprowadziłem pana w błąd?

– Twierdząc, że jest pan z rejencji legnickiej – wycedził.

– Nie mówiłem, że jestem z rejencji legnickiej – odrzekł ostro.

– Dał pan to do zrozumienia...

– Nikomu niczego nie dawałem do zrozumienia – odparował komisarz kryminalny. – To pan wyciągnął pochopne wnioski. Ale to już nie moja wina, prawda?

– Panowie... – westchnął opat.

– Herr Obermeister, nie powinniśmy chyba toczyć proceduralnych gier, tylko wesprzeć wielebnego ojca i pozostałych braci w tej trudnej dla nich chwili. – Dewart zmienił front. – Poproszono mnie jako gościa o pomoc, której udzieliłem. Ale, jak już obaj wiemy, moja obecność tutaj ma charakter nieoficjalny i to pan, jako komendant miejscowej żandarmerii prowadzi sprawę. Skądinąd niezwykle fachowo, jak zdążyłem się już przekonać.

– Tak pan uważa? – W głosie Walslebena dało się wy czuć satysfakcję.

– Rozpytanie, które zdążył pan już przeprowadzić, oceniam jako pierwszorzędne.

– Niezwykłe miło słyszeć to z ust funkcjonariusza tak wysokiego stopniem. Dziękuję! – Trzasnął obcasami.

– Bardzo proszę. – Dewart delikatnie się uśmiechnął.

– Jeśli i ja mógłbym wykorzystać pańską obecność i poprosić o opinię?

– Już ją pan usłyszał. Nieszczęśliwy wypadek na nierównej posadzce. Jedyne, co bym jeszcze na pańskim miejscu zrobił, to rozmowa z bratem, który znalazł tego nieszczęśnika.

– Oczywiście, zamierzałem taką przeprowadzić!
– rzekł szybko. – Stenzel!

– *Jawohl!* Tak jest! – Starszy wachmistrz zasygnalizował gotowość do pracy.

– Przyprować świadka! – wrzasnął. – Za pozwoleniem wielebnego ojca, oczywiście – dodał błyskawicznie.

– August nie musi się fatygować. Brat Dominik oczekuje na nas w refektarzu – rzekł Pallentin. – Tędy, panowie...

Tak, jak przewidywał Dewart, rozmowa z mnichem, który znalazł denata, nic nie wniosła do sprawy. Chwilę później policjanci – już na placu przed klasztorem – zgodnie ustalili, że śmierć ojca Bronisława była wynikiem wypadku i co za tym idzie, wzywianie funkcjonariuszy policji kryminalnej było niepotrzebne.

– Herr Kriminalkommissar, jestem ogromnie wdzięczny za pańską nieocenioną pomoc. Tym bardziej, że poświęcił pan dla mnie i braci czas przeznaczony na... – Walsleben zrobił krótką pauzę – urlop. Wielebny ojciec, wiemy już wszystko. Pozostaje mi się pożegnać, życząc sobie i wielebnemu ojcu, aby nasze kolejne spotkanie wyniknęło z innych powodów.

– Życzymy sobie tego wszyscy. – Opat położył ręce na piersi. – Dziękuję panom za pomoc. Jak mawiał święty Benedykt, człowiek mądry daje się poznać w kilku słowach.

Żandarmi obrócili się na pięcie i ruszyli w kierunku bramy. Pallentin pożegnał się z Dewartem, tłumacząc, że musi zlecić zajęcie się ciałem zmarłego.

Policjant patrzył na Walslebena – który wyprzedzał podwładnego o pół kroku – mając nieodparte wrażenie, że jego obecność tutaj mocno podrażniła ambicję komendanta, tym bardziej że był od niego o wiele wyższy stopniem. Z drugiej strony starał się go zrozumieć, też nie byłby zadowolony, gdyby pałętał mu się pod nogami jakiś obcy funkcjonariusz.

– Narzekałem na nudę, to mam, czego chciałem – westchnął, kierując się w stronę domu gościnnego opata.

Rozdział 6

Dom gościnny opata – przypominający barokowy pałac – nazywano też domem zielonym, za sprawą koloru tynków nałożonych na elewacje w XIX wieku. Na każdej z trzech kondygnacji znajdowały się cztery wielkie izby. Parter mieścił kuchnię, jadalnię, pralnię i pomieszczenie gospodarcze, wyżej ulokowane były pokoje dla gości. Zarówno korytarze, jak i klatkę schodową zdobiły obrazy świętych oraz opatów. Na pierwszym piętrze, na specjalnym postumencie stał też niezwykle okazały kielich mszalny – Emmanuel – który w 1733 roku, z okazji pięćdziesięciolecia ślubów zakonnych, podarowano opatowi Innocentemu Fritschowi. Niecały wiek później został skonfiskowany – jak cały majątek opactwa – przez państwo pruskie. Na szczęście udało się go wykupić, zrobił to ostatni cysterski opat Ildefons Reuschel, poświęcając na to otrzymaną od państwa rentę, za którą też zorganizował dla biednych kuchnie wydające obiady w Grüssau, Schömbergu i Landeshut. Już jako

zwykły proboszcz, mimo sędziwego wieku, do parafian rozsianych po okolicznych wsiach chodził na piechotę.

Apartament biskupi, który oddano Dewartowi do dyspozycji, mieścił się w południowo-zachodnim narożniku domu, na drugim piętrze. Miał kształt prostokąta, krótsza ściana liczyła prawie sześć metrów, dłuższa siedem. Pokój mieścił ogromne łóże, sekretarzyk, stół, cztery wygodne krzesła, szeslong, dwie szafy i kominek wyłożony misternie zdobionymi kaflami. Posiadał też własną łazienkę – z wielką żeliwną balią – do której wiodły przestronne drzwi. W ciągu dnia światło słoneczne wpadało przez cztery szerokie okna, dając przy okazji dużo ciepła. Gorzej było w nocy, a szczególnie nad ranem, kiedy wygasły kominek nie ogrzewał już pomieszczenia, co Dewartowi mocno doskwierało, był bowiem zmarzluchem.

– I to kolejny argument, żeby pojechać gdzieś indziej – westchnął, przypomniawszy sobie, że Grüssau leżało w najzimniejszej sudeckiej kotlinie, a to za sprawą korytarza powietrznego ciągnącego się tutaj aż spod odległej o ponad dwadzieścia kilometrów Schneekoppe²¹. Gdy stamtąd wiało, robiło się naprawdę mroźno. Sam szczyt policjant podziwiał codziennie z okien apartamentu. Z nim, jak i z całym Riesengebirge²² wiązało się tyle przyjemnych wspomnień...

Teraz jednak było widać tylko liche światła okolicznych domostw. Dewart zasłonił szczelnie kotary – nie lubił, gdy słońce budziło go zbyt wcześnie – po czym sprawdził ustawienie butów pod ścianą. Poprawił jedną

²¹ Śnieżka.

²² Karkonosze.

z par tak, aby od innych dzieliła ją dokładnie taka sama odległość, którą odmierzał na dwa palce. Jeszcze nie tak dawno nie był taki pedantyczny, ba, niegdyś trudno było znaleźć większego bałaganiarza. Ale to się zmieniło, tego jednego dnia, a właściwie jednej nocy.

Próbował uciec myśli, która się nagle pojawiła, ale z doświadczenia wiedział już, że będzie to trudne. Ruszył do łazienki, mając nadzieję, że pomoże mu w tym kąpiel, lecz jego wzrok padł na wielki obraz zawieszony nad wezłowiem. „Koronację św. Józefa z widokiem na uroczystość założenia bractwa św. Józefa w Grüssau” w 1669 roku namalował klasztorny malarz Marcin Leistriz – autora zresztą widać było na obrazie, klęczał w lewym dolnym rogu ubrany w cysterski habit wyposażony w paletę. Obok niego znajdował się jego brat Zygmunt, utalentowany rzeźbiarz i snycerz. Na czele tłumu złożonego z członków bractwa stał opat Bernard Rosa, dalej widać było też klasztorną orkiestrę z trąbami i bębnami oraz członków chóru z nutami w rękach.

Bractwo św. Józefa było efektem odnowy życia religijnego katolików, którą przyniosła ze sobą kontrreformacja. W prowincji śląskiej pierwszą taką wspólnotę – 19 marca 1669 roku w Grüssau – założył opat Rosa. Jego członkowie szczególnie modlili się o śmierć w dobrej chwili, co było pewnie spowodowane okropnościami niedawnej wojny trzydziestoletniej, późniejszego potopu szwedzkiego, ciągłych najazdów Turków czy różnego rodzaju epidemii dziesiątkujących miasta i wsie całej Europy. Rodzinom zamieszkującym te tereny bractwo miało dawać przykład, jak należy postępować

wać – wzorem była tu święta rodzina. Dlatego właśnie opat Rosa na obrazie trzymał kartkę, na której można było rozpoznać Maryję, Józefa i Jezusa.

– Święta rodzina – westchnął Dewart. Rodzina... Odkąd pierwszy raz położył walizki na łóżku i spojrzął na obraz, wielokrotnie myślał o swoich najbliższych.

Poczuł nagły ścisk w żołądku. Nabrał głęboko powietrza, wypuścił je po chwili, powtórzył to kilka razy, jednak nie pomogło. Ogarnął go taki smutek, że zarzucił myśl o kąpieli i, nie przebierając się, położył do łóżka, mając przy tym nadzieję, że zaśnie, zanim wyobrażenia zdąży sięgnąć po obrazy, które od tak dawna bezskutecznie próbował wyrzucić z pamięci.

Rozdział 7

Środa 19 grudnia 1934

Dewart obudził się zlany potem, zanim jeszcze na dworze zaczęło się robić jasno. Jak niemalże co noc dręczyły go koszmary, dlatego przez dłuższą chwilę leżał jeszcze w łóżku pod pierzyną, szcękając przy tym zębami, jako że ogień w kominku już dawno wygasł.

Przez kwadrans rozpamiętywał wydarzenia poprzedniego wieczora – szczególnie starcie z komendantem miejscowej żandarmerii. Nawet tu, na końcu świata, za ledwie kilka kilometrów od granicy z Czechosłowacją, z dala od dużych miast, szefów prowincji czy rejencji, nadepnął komuś na odcisk. Ale cóż, taką już miał urodę – jak zwykła mawiać jego babcia – że zamiast trzymać głowę zamkniętą na kłódkę, wołał mieć ozorem. Inna

rzecz, że tak właśnie został wychowany: aby zawsze walczyć o swoje i nie pozwolić innym sobą pomiatać, nawet jeśli byli wyżej ulokowani w hierarchii społecznej czy zawodowej.

Wstał, zaczął kręcić rękoma młynki, aby w ten sposób się rozgrzać. Ponieważ efekt był mizerny, poczłapał do łazienki, by ochlapać się lodowatą wodą. Pomogło o tyle, że przynajmniej otrząsnął się z resztek snu.

Gdy wrócił do apartamentu i zaczął się ubierać, poczuł nagle czyjąś obecność. Rozejrzał się nerwowo, ale w pokoju nikogo nie było. Sprawdził nawet drzwi, cały czas były zamknięte na klucz, który tkwił w zamku, tak, jak zostawił go wczoraj wieczorem. Wtem zamarł, widząc w lustrze diaboliczną twarz mężczyzny z włosami czarnymi jak węgiel, ubranego w równie ciemny kaftan obleczony białym kołnierzem.

Błyskawicznie odwrócił się w tę stronę, po czym zaśmiał się raz, drugi, by chwilę potem zanieść się śmiechem. Owa twarz, która tak go przestraszyła, to nie było nic innego, jak odbicie w lustrze portretu Angelusa Silesiusa²³, znanego śląskiego poety religijnego epoki baroku, czytanego zarówno przez protestantów, jak i katolików, przez tych pierwszych najpewniej do 1653 roku, kiedy to – w wieku dwudziestu dziewięciu lat – przeszedł na katolicyzm. Słynął z niezwykle ostrych poglądów kontrreformatorskich – włącznie z żądaniem rekatolicyzacji Śląska – co skończyło się pogrózkami ze strony innowierców. W 1682 roku w Glatz²⁴ na polecenie opata Bernarda Rosy wydano „Drogę Krzyżową

²³ Anioł Ślązak, właściwe nazwisko: Johann Scheffler.

²⁴ Kłodzko.

w Grüssau”, do której Silesius stworzył pieśni. Dewart otrzymał nawet egzemplarz od Pallentina, ale nie znalazł czasu, aby nawet do niego zajrzeć.

Śmiejąc się pod nosem z samego siebie, policjant ubrał się, następnie zszedł na śniadanie, które tym razem zjadł w samotności, wuj bowiem w jadalni się nie pojawił. Potem postanowił zrobić sobie krótką wycieczkę na górę św. Anny znajdującą się na wschód od opactwa. Wiele osób polecało mu tamtejszy punkt widokowy.

Zaopatrzony w gruby kij ruszył w drogę. Chwilę po opuszczeniu murów opactwa dotarł do kamiennego mostka przerzuconego nad rzeką Zieder, przypatrując się przez moment stojącej na nim figurze świętego Jana Nepomucena. Z tego miejsca widział też górę św. Anny i stojący na niej kościół pod wezwaniem tejże patronki – opiekunki małżeństw, górników złota i tkaczy. Była to już trzecia świątynia w tym miejscu. Pierwsza stała tu na początku XVI wieku, w 1686 roku zaś opat Bernard Rosa wzniósł na jej miejscu nową, większą. Kilkanaście lat później jego następca – opat Dominik Geyer – wybudował pięć słupów świętej Anny wzdłuż drogi prowadzącej do kościoła. Jednak za sprawą przywileju nadanego przez papieża Klemensa XI, na którego mocy zmierzający do niego pątnicy mogli uzyskać odpust zupełny, pojawiła się potrzeba postawienia jeszcze większej świątyni. Inwestycja zajęła rok i kosztowała 1216 florenów.

Zaraz po minięciu ostatnich domostw droga zaczęła się ostro piąć w górę, Dewart mógł więc zrobić użytek z kija. Oceniał, że opactwo od góry dzieliło może półtora kilometra, może dwa, zdążył się więc solidnie

zmęczyć. Kiedy dotarł do czwartego słupa – Narodzenia Najświętszej Maryi Panny – postanowił odpocząć i nasycić oczy widokami. Rozpościerała się stąd przepiękna panorama nie tylko Grüssau i opactwa, ale także Rabengebirge²⁵, jak i samych Riesengebirge z górującym szczytem Schneekoppe. Dzięki lornetce, którą zawsze zabierał ze sobą na górskie wędrówki, mógł nawet rozpoznać budynek obserwatorium – wybudowany w latach 1899-1900 – będący trzykondygnacyjną wieżą z dwoma tarasami na dachu, mającą szesnaście metrów wysokości. Był tam już kilka razy i wiedział, że drewnianą konstrukcję wzmocniono długimi metalowymi śrubami, aby zaś budynek nie pofrunął z wiatrem, pod dolnym tarasem umieszczono balast w postaci pięciu ton kamieni, wszystko zakotwiczone do gruntu stalowymi linami.

– Szczęść Boże!

Na dźwięk tych słów Dewart aż się wzdrygnął.

– Daj Boże – odparł po chwili. – Ależ mnie ojciec Wacław zaskoczył! – Uśmiechnął się kwaśno, zdawszy sobie sprawę, że musi wyglądać jak przestraszone dziecko.

– Gdybym wiedział, to krzyknąłbym z daleka. – Zażółcił się radośnie. – Podziwia pan widoki?

– Tak – potwierdził. – Chce ojciec skorzystać z lornetki?

– Nie trzeba. To, co dostrzegam oczami, daje mi wystarczająco dużo radości. Nie muszę się posiłkować żadnymi wynalazkami.

– Ale lornetka to nic takiego...

– O radiu też tak mówiono – skontrował. – Podobno także obraz można już przesyłać na odległość...

²⁵ Góry Krucze.

– Ojciec jest na bieżąco, jak słyszę. – Dewart próbował ukryć ironię, ale nie do końca mu się to udało.

– A dlaczego miałbym nie być? – odciął się momentalnie. – Bycie zakonnikiem nie oznacza jeszcze całkowitego odcięcia się od świata.

– Właśnie, ojców i braci nie obowiązuje klauzura?

– Opiekuję się kościółkiem świętej Anny i czasami go odwiedzam, żeby zobaczyć, czy nie trzeba przy nim wykonać jakichś prac.

– I akurat dzisiaj wypadł ojcu dyżur... – Dewart powiedział to raczej do siebie. – Skoro już się spotkaliśmy, to czy mogłby mi ojciec opowiedzieć coś o ojcu Bronisławie?

– Co chciałby pan wiedzieć? – spytał podejrzliwie.

– Czym się zajmował w klasztorze... Jakie zadania mu ostatnio przydzielano... Czy był powszechnie lubiany... A może miał wrogów?

– Wrogów? – Mnich zaśmiał się głośno. – Herr Kriminalkommissar, rozumiem, że charakter pańskiej pracy zawodowej narzuca pewien tok rozumowania, ale...

– Ale?

– U benedyktynów, jak w każdej wspólnotie zakonnej, obowiązują ścisłe reguły. Każdy zakonnik składa przyrzeczenie stałości, obyczajów monastycznych i posłuszeństwa. Robi to przed Bogiem i jego świętymi, żeby wiedzieć, że złamanie tego ślubowania oznacza potępienie ze strony tego, z którego sztydzi.

– Kiedy ja nie pytam o ślubowanie Bogu, tylko o relacje międzyludzkie – zauważył Dewart.

– Bracia mają się wzajemnie miłować, szanować i być sobie posłusznymi, bo właśnie drogą posłuszeństwa zmierzają ku Bogu.

– Czyli żaden z braci nie mógłby żywić do ojca Bronisława urazy? – Nie dawał za wygraną.

– Nawet za murami klasztoru jesteśmy tylko ułomnymi ludźmi. – Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Czy ta uraza mogłaby być wielka?

Zakonnik zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

– A czym ojciec Bronisław się zajmował? – pytał dalej policjant.

– Oprócz zwykłej posługi kapłańskiej także stolarką i ciesielką – odpowiedział. – W dzisiejszych czasach to coraz trudniejsze, ale staramy się być samowystarczalni – dodał, widząc pytające spojrzenie rozmówcy.

– Mam wrażenie, że ojciec w ogóle nie jest zdziwiony charakterem moich pytań. – Dewart zmienił nagle temat.

– A powinienem być?

– Moja ciekawość mogłaby przecież sugerować, że wersja o wypadku nie jest jedyną, jaką rozważam. Co za tym idzie: podejrzewam morderstwo – powiedział wyzywająco.

– To pan jest specjalistą od roboty kryminalnej, nie ja – odparł spokojnie zakonnik. – Poza tym wyczuwam w pańskim głosie agresję. Teraz ja z kolei mógłbym zapytać, czy zrobiłem panu coś złego, wyrządziłem jakąś krzywdę, ale wiem doskonale, że nie, bo przecież znamy się dopiero od kilku dni i rozmawiamy może piąty raz w życiu. A ponieważ reprezentuję niejako Pana Boga, skoro więc tak mnie pan traktuje, to by oznaczało, że ma jakiś żal do niego.

Dewart zacisnął gniewnie usta.

– Czyli mam rację – szepnął Lubomski.

Policjant cały czas milczał.

– Nie chciałem panu zrobić przykrości...

– Wiem – rzekł komisarz kryminalny. – Po prostu zaskoczył mnie ojciec przenikliwością swojego rozumowania.

– Nie tylko policjanci znają znaczenie słowa dedukcja.

– Parsknął śmiechem.

– Jak na zakonnika to z tą dedukcją jest ojciec trochę za bardzo za pan brat... – Zmrużył oczy.

– No dobrze. – Zaśmiał się jeszcze głośniej. – Zanim tu trafiłem, zaczytywałem się w powieściach detektywistycznych.

– I wszystko jasne. – Zawtórował śmiechem.

– Mam klucze do kościoła. Chce pan wykorzystać okazję i go obejrzeć? A może się pomodlić?

– Chętnie skorzystam z propozycji – odpowiedział, nie precyzując, którą jej część ma na myśli. – Chce się ojcu z powrotem wspinać pod górę?

– To przecież niedaleko.

– Zatem chodźmy!

Kilka minut później zakonnik otwierał już żelazne drzwi. Ku swemu zdziwieniu Dewart stwierdził, że wnętrze kościoła św. Anny było bardzo skromne, a w porównaniu do świątyni klasztornej wręcz ascetyczne. Ta surowość od razu przypadła mu do gustu. Praktycznie jedynymi ozdobnikami były rzeźby świętych Joachima i Józefa, uratowane przez mieszkańców z pożaru, który – wzniecony przez piorun – strawił świątynię 4 sierpnia 1884 roku.

– Zauważyłem, że nawet nie usiadł pan w ławce, aby się chwilę pomodlić – powiedział Lubomski, kiedy

wyszli na zewnątrz. – Wczoraj wieczorem także nie klęczał pan przed obliczem Matki Boskiej Łaskawej...

– A nie wolno mi?

– Jak czytamy w pierwszym liście do Koryntian: wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść²⁶.

– Kręcił potężnym kluczem w zamku. – Wszystko mi wolno, ale ja niczemu nie oddam się w niewolę... Wie pan, że nasza cudowna ikona jest mocno związana z kulturą bizantyjską?

– Jakby tu ojcu odpowiedzieć, żeby ojca nie urazić...

– Dewart udał, że się zastanawia. – Nie jest to w kręgu moich zainteresowań.

– Nic nie szkodzi... Najświętsza Paniienka potrafi skruszyć najbardziej zatwardziałe serca... – rzekł cierpliwie.

– Powstające na Wschodzie ikony od zawsze były nie tylko zwykłymi obrazami Boga, Matki Bożej czy świętych namalowanymi na desce, ale ich prawdziwymi odbiciami... Przed nimi się klęka... Modli... Adoruje... Czasem tak długo, że rzeczywistość zaczyna się mieszać z fikcją, a postacie z obrazów stają przed oczami jakoby żywe...

– Nie rozumiem, co ojciec chce mi powiedzieć. – Próbował ukryć rosnącą irytację.

– Jak pan wejdzie do kościoła klasztornego, proszę spojrzeć na ikonę... Na Maryję... Na jej ręce... – mówił dalej. – Jedną trzyma Jezusa, dając mu poczucie bezpieczeństwa, jak każda matka kochająca swoje dziecko. Drugą wskazuje na niego i to nie bez powodu. Niech pan spojrzy na Dzieciątko... Wzrok ma zwrócony w nieskończoność.

²⁶ 1 Kor, 6, 12. Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia Online (<http://biblia.deon.pl>).

– Mam świętą pamięć i doskonale pamiętam, jak ikona wygląda, ale nic takiego nie widziałem – wycedził.

– Jezus natychmiast wyciągnął rękę i chwycił go, mówiąc: *Czemu zwątpiłeś, małej wiary?*²⁷ – Zamyślił się.

– Herr Kriminalkommissar, pański gniew nie ma znaczenia... – Zrobił kolejną pauzę. – Do tej ikony pielgrzymują tysiące pątników w nadziei na pomoc...

– Ale nie ja – odparł spokojnie.

– Jest pan policjantem. – Uśmiechnął się dobrotliwie.

– Używa pan wiedzy i rozumu, aby zweryfikować tropy. Ale przecież czasami korzysta pan także z intuicji? Czegoś, czego nie jest pan w stanie sprecyzować... Nazwać... Określić... Prawda?

Nic nie odpowiedział.

– Nie przyszło panu do głowy, że nie znalazł się pan tutaj przypadkiem?

Wciąż milczał.

– Herr Kriminalkommissar, Maryja nad panem czuwa.

– Pójdę już. – Dewart skinął głową na pożegnanie i ruszył w dół, wpatrując się w górskie grzbiety niknące powoli w chmurach.

– Maryja nad panem czuwa... – szepnął mnich, oglądając się na postać policjanta majaczącą wśród drzew.

²⁷ Mt 14, 31.